

PIOTR KACZMAREK

OCZY NA WSCHÓD



 Księży Młyn
DOM WYDAWNICZY

PIOTR KACZMAREK

**OCZY NA
WSCHÓD**

PIOTR KACZMAREK

OCZY NA WSCHÓD



 Księży Młyn
DOM WYDAWNICZY

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki pochodzi z serwisu Unsplash.
Pozostałe fotografie zaprezentowane w książce
należą do zbiorów Autora.

Redaktor prowadzący: Justyna Żurawicz

Redakcja i korekta: Dominika Kawczyńska-Wojtuś

Skład: Tomasz Kuc

Projekt okładki: Ania Skurska

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2022

© Copyright by Piotr Kaczmarek, 2022

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy
autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy.

Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło
ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-679-0

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2022. Wydanie 1

*Ukrainie i ludziom, których tam spotkałem
- za podarowanie mi drugiej duszy*

Spis treści

Słowo wstępne	9
Od Autora	12
Podziękowania	13
Pierwyj blin komom (Pierwsze koty za płoty)	15
Park art	21
(Nie)daleko od szosy	25
Urodziny bossa	30
Ruska bania	34
Krymska riwiera	39
8 marca	43
Samica alfa	45
Dacza my love	51
Osobliwości narodowego wędkarstwa	54
Sługa Narodu	63
Alfa Bros Pictures	68
Po czarne złoto	70
Mistrz i Małgorzata	74
La Perla	83
Jazzowy lwi pazur, czyli impossible is nothing!	86
Ironia losu	93
Korzenie	105
Donbas arena (wojny)	113
Majdan	119
Mój Majdan	124
Kilka słów o książce	133

Słowo wstępne

Książka Piotra Kaczmarka – *Oczy na Wschód* – została wydana w szczególnym momencie historycznym. Autor mieszkał i pracował przez osiem lat w Kijowie, miał więc możliwość poczynienia wielu bardzo interesujących, a często nawet zaskakujących obserwacji. Treść książki stanowią – miejscami fabularyzowane – osobiste reminiscencje autora, wplecione w szerszy kontekst obyczajowy i polityczny. Lekturę czyta się jednym tchem, z ogromnym zaciekawieniem, bowiem jest w niej zawarta soczysta dawka humoru oraz autoironii, a co najważniejsze zdania kreślone są piórem lekkim, napełnionym niebiesko-żółtym atramentem. Wspomnienia autora przeniosą nas m.in. do gorących pomieszczeń ruskiej bani, do muzeum Michaiła Bułhakowa, gdzie będziemy uczestniczyli w hucznej imprezie kijowskiej bohemy, niczym z legendarnej powieści *Mistrz i Małgorzata*. Oczywiście gospodyni Małgorzata, Woland i Kot Behemot także będą obecni.

Ukraina jest aktualnie w umysłach i na ustach wszystkich ludzi dobrej woli na całym świecie. Taka sytuacja spowodowała nagły wzrost zainteresowania problematyką ukraińską, jednak percepcja tego tematu odbywa się, niestety, najczęściej poprzez

pryzmat zniszczeń i cierpienia niezliczonej liczby ludzi, którzy padli ofiarą wojennej zawieruchy. Należy jednak podkreślić, iż książka, którą Czytelnik trzyma właśnie w dłoniach, powstała już jakiś czas temu i opisuje zupełnie inną Ukrainę: pełną kolorów i życia, radości, a często nawet rubaszości. Oczywiście autor nawiązuje także do historycznych, trudnych momentów, jakim był na przykład Majdan, którego stał się naocznym obserwatorem. Jednak to nie martyrologia, a codzienne życie dominuje w barwnych opisach prawdziwych zdarzeń. Poznajemy ciekawych ludzi w zaskakujących interakcjach, wchodzimy w głąb duszy ukraińskiej, a jak już tam jesteśmy, to zauważamy, że jest podobna do duszy polskiej. Ale widząc te podobieństwa, uważny obserwator dostrzeże też urocze różnice. Autor jest doskonałym gawędziarzem. Z ogromną sprawnością narracyjną oprowadza Czytelnika po kijowskich – i nie tylko – zakamarkach. Raz są to miejsca, w których waży się finansowa przyszłość Ukrainy, innym razem salony kijowskiej socjety towarzyskiej, a kiedy indziej barwne imprezy, zorganizowane z charakterystycznym ukraińskim rozmachem. Książka pisana jest także zmiennym tonem. Obok historii zabawnych, które bez wątpienia rozweślą Czytelnika, znajdziemy wspomnienia sytuacji poważnych, a nawet tragicznych – jak opis pamiętnych zdarzeń z 2014 roku. Odbiorca lektury będzie mógł dowiedzieć się nie tylko o wydarzeniach, które uszły uwadze tzw. mediów oficjalnych, ale także poczuć niemal organoleptycznie atmosferę opisywanych sytuacji, co jest efektem niebywałego talentu narracyjnego autora i umiejętności budowania w umyśle Czytelnika sugestywnych wizji opisywanych zdarzeń.

Książka jest bogato ilustrowana fotografiami, które stanowią niezbity dowód, iż nieprawdopodobnie barwne sytuacje w niej

przedstawione wydarzyły się naprawdę, a ich opisy nie stanowią jedynie *licentia poetica* autora.

Gorąco zachęcam do przeczytania książki, po pierwsze dlatego, że lektura poprawi humor, po drugie pozwoli dowiedzieć się o Ukrainie takich rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło! Po trzecie... to już odkryją Państwo sami.

Milej lektury!

Andrzej Majewski

*Jeśli chcesz żyć za życia, zostań bankierem.
Jeśli chcesz żyć po śmierci, zostań pisarzem.*

Od Autora

Moje doświadczenie życia w Ukrainie w latach 2006–2014 było bardzo intensywne, pełne smaków, zapachów, kolorów i emocji. Z czasem zaczęły one wszystkie układać się w mojej głowie w obrazy i historie. Aby ocalić je od zapomnienia, zacząłem je zapisywać – początkowo dla siebie, a z czasem dla bliskich i przyjaciół. Decyzja o podzieleniu się nimi z Wami, Drodzy Czytelnicy, była spontaniczna. Wybuch okrutnej wojny i bezprzykładny zryw znacznej części społeczeństwa do pomocy Ukrainie, Ukraincom sprawiły, że nasze dwa narody zaczęły pisać nowy rozdział wspólnej historii. W chwili gdy co druga rodzina w Polsce gości uchodźców zza wschodniej granicy, potrzeba wzajemnego rozumienia się, znajomość kodu kulturowego przybyszów stają się bardzo cenne. Mam nadzieję, że moje historie, obserwacje i przemyślenia trochę w tym pomogą.

To nie przewodnik turystyczny, to też nie obiektywna praca naukowa. To raczej fabularyzowany dziennik lub po prostu zestaw historii, które mają coś opowiedzieć o tym kraju, tych ludziach.

Podziękowania

Dziękuję przyjaciołom i znajomym z Ukrainy – zarówno Ukraincom, jak i Polakom – za nasze wspólne przeżycia, które stały się inspiracją do napisania tej książki.

Dziękuję Dorocie Szkodny-Ciołek za bezcenne rady w zakresie techniki opowiadania historii i za motywujące recenzje w trakcie prac nad książką.

Dziękuję mojej żonie Małgosi za to, że dała się namówić na tę ukraińską przygodę i za to, że wspierała mnie – zarówno tam, jak i podczas pisania.

Wielkie dzięki moim córkom – Magdzie, Karolinie i Zuzi – za niebanalne pomysły i konstruktywną (zazwyczaj) krytykę.

Jestem wdzięczny wszystkim, którzy zachęcali mnie do pisania – bez Waszej wiary zapewne by się nie udało.

Specjalne podziękowania kieruję do Andrzeja Majewskiego, który nieoczekiwanie stał się moim mentorem w nowym dla mnie uniwersum wydawania książki. Znamy się z Andrzejem z warsztatów i nie były to bynajmniej warsztaty literackie, a zupełnie mechaniczne – w ramach naszej wspólnej edukacji w technikum elektronicznym.

Dziękuję wreszcie zespołowi Domu Wydawniczego Księży Młyn, a w szczególności mojej redaktor prowadzącej Justynie Żurawicz oraz odpowiedzialnej za redakcję i korektę tekstu Dominice Kawczyńskiej-Wojtuś za zaangażowanie i profesjonalizm – dużo się od Was nauczyłem!

Pierwyj blin komom (Pierwsze koty za płoty)

Entuzjazm widowni sięga zenitu, gdy wykonuję na scenie ostatek taktów *Zorby* pod ramię z jakimś Grekiem, ściągniętym specjalnie na tę okazję. Na ekranie za mną fotografia Olimpu z napisem: *Powodzenia w drodze na Olimp*. Kończy się moje *farewell party* – mój wierny zespół żegna mnie, życząc mi jak najlepiej w mojej przyszłej międzynarodowej karierze. Patrząc na te wszystkie kochane twarze i wręcz czuję dobrą energię. Dużo mniej dobrej energii, a właściwie to zero, jest u mojej żony, gdy parę miesięcy później komunikuję jej, że nie wyjedziemy jednak do Aten, a do... Kijowa. Jej kategoryczne: – Po moim trupie! – traktuję jako początek negocjacji. Nielatwych, jak się okaże.

Myślę o tym wszystkim, gdy samolot kołuje po płycie lotniska Kijów–Boryspil w słoneczny majowy dzień 2006 roku.

Pierwsze, co uderza mnie pozytywnie, to ilość i intensywność zieleni: piękne aleje kasztanów wzdłuż ulic, wiele sporych parków ze starodrzewem, ogród botaniczny pomyślany jako miejski „Central Park” – miejsce weekendowych rodzinnych pikników. Powietrze pachnie ulicznym jedzeniem, którego pełno sprzedaje się z setek budek i wózków, jest nuta dymu z grilli węglowych i unikalny zapach ukraińskiego kwasu (rodzaj

podpiwka), sprzedawanego z beczkwozów – jak kiedyś u nas woda sodowa z sokiem. Drugie (a może to jednak było pierwsze, przed zielenią) to uliczna rewia kobiecej mody i urody – jest dopiero południe, a liczba wysokich, zgrabnych dziewczyn w zupełnie „nieulicznych” sukienkach, szortach z topami i najczęściej w szpilkach jest porażająca.

Pierwsze wrażenie ze spotkania z zespołem w banku jest pozytywne: ludzie generalnie młodzi, progresywni, chętnie słuchają i są ciekawi nowego. Nie wahają się wypowiadać swojego zdania. Różnicę w stosunku do moich polskich doświadczeń widać w zasadzie głównie w ubiorze. Dziewczyny wyglądają dokładnie jak te, które widziałem na ulicy. „Chyba większość szła do banku” – przebiega mi przez głowę. Zajmie mi sporo czasu, żeby przywyknąć do tego kolorowego, biurowego stylu *glamour*. Panowie zaś wyglądają, jakby przyszli właśnie z wesela w niewielkiej miejscowości na polskiej prowincji: ubrani w najróżniejszych kolorów garnitury (istnienie niektórych barw i odcieni jest dla mnie odkryciem) i najczęściej koszule z krótkim rękawem. W kwestii butów za to wyprzedzają epokę, bo mokasyny do garniturów staną się modne dopiero 15 lat później.

Różnice w stylu zarządzania dostrzegam już na jednym z pierwszych spotkań, na których omawiamy najbliższą kampanię marketingową. Staram się być najlepszą wersją samego siebie: rzucam w powietrze idee, a nie polecenia, inspiruję ich do myślenia, a nie do notowania moich myśli. Patrzą na mnie życzliwie, ale nie widzę w ich oczach tego specyficznego *click!*, kiedy już wiesz, że zaskoczyło. Mój błąd staje się oczywisty, gdy na rutynowe „czy są pytania?” na koniec, wstaje szef marketingu w jasnooliwkowym gajkerku i pyta: – Panie prezesie, a co JA mam zrobić?

Mimo pewnych trudności kampania rusza i staje się dużym sukcesem. Jej kulminacyjnym punktem jest losowanie imponującego nissana pathfindera wśród klientów, którzy wzięli kredyt gotówkowy. Cały zespół jest podekscytowany tym losowaniem i autentycznie zdziwiony, gdy komputer wybiera jakiegoś klienta z podkijowskiej miejscowości, a nie – jak się spodziewali – przyjaciela lub znajomego królika. „Tak się wdraża europejskie standardy” – myślę sobie z satysfakcją.

Wręczenie kluczyków i samego auta przyciąga lokalną telewizję. Kiedy poprawiam krawat przed rozpoczęciem ceremonii, podchodzi do mnie sympatyczna dziennikarka i dość stanowczo komunikuje mi, że „ten klient nie nadaje się do telewizji”. Nie wiem, o co chodzi, ale po chwili pokazują mi zza kulis naszego szczęśliwca – to 35-letni mieszkaniec podkijowskiej miejscowości Browary. Faktycznie wygląda, jakby mieszkał w browarze albo bardzo blisko niego. Jego fioletowawa twarz przeszłaby może jakoś w czasach czarno-białej telewizji, ale nie teraz. Cóż, w telewizyjnej relacji wystąpić musi jeden z naszych pracowników, zanim wręczymy kluczyki prawdziwemu zwycięzcy. Pierwsze spotkanie z przedstawicielem grupy docelowej klientów na kredyt gotówkowy ze stawką oprocentowania 50% rocznie mam za sobą i jest inaczej niż w Polsce. Za to kuchnia telewizyjnych iluzji i kłamstewek jest taka sama.

Mijają tygodnie i miesiące. Mój rosyjski zaczyna być coraz płynniejszy, co ułatwia radykalnie nieformalną komunikację i sprawia, że moje relacje z menedżmentem i zespołem stają się coraz lepsze. Dla nich jestem co prawda „ekspatem”, ale jednak takim bardziej „swoim”. To nie tylko kwestia mojego coraz lepszego rosyjskiego, ale przede wszystkim „słowiańskiej duszy”: nie dość, że wszyscy widzieliśmy *Czterech pancernych*, to jeszcze podobnie patrzymy na wiele problemów, w podobny sposób

szukamy rozwiązań – niejednokrotnie wdając się w subtelną grę z systemem.

Wszystko to staram się wykorzystać dla podstawowego celu, dla którego mnie tu przysłano – przygotowania płynnego przejęcia ukraińskiego banku, będącego własnością kilku osób fizycznych, przez międzynarodową korporację bankową. Europejska centrala przysłała mi na pomoc jedną z najbardziej znanych firm konsultingowych o zasięgu światowym. Zaczyna się kilkumiesięczny projekt: niezliczone analizy, *streamy*, wielogodzinne *workshopy* i komitety sterujące. Po drodze dziesiątki exceli, kolorowych prezentacji w PowerPoincie, a na koniec otrzymuję ponad stustronicowy *Transition plan*, czyli szczegółową instrukcję i plan działań na pierwsze 100 dni po zamknięciu transakcji zakupu banku. Plan dotyczy komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej, działań dla utrzymania kluczowych ludzi, budowy systemu motywacyjnego, reorganizacji, kluczowych projektów i wreszcie działań komercyjnych. Wiem, że zmiana kulturowa, organizacyjna i procesowa będzie ogromna, ale mam wrażenie, że jestem świetnie przygotowany, kiedy nadchodzi wreszcie *D day*.

Closing transakcji za kilkaset milionów dolarów jest fascynującym rytuałem.

Dziesiątki przym dokumentów transakcyjnych piętrzą się na długim stole w sali konferencyjnej, prawnicy z podkrążonymi oczami po nieprzespanej nocy biegną w tę i z powrotem, reprezentanci kupującego i sprzedającego nerwowo przechadzają się po wydzielonych im odrębnych pomieszczeniach, leją się hektolitry kawy i wody. Często wynika jakaś *last minute issue* i zaczynają się grzać telefony komórkowe, a tempo biegania prawników jeszcze się zwiększa. Wreszcie, gdy wszystko jest gotowe, samo podpisywanie przebiega zadziwiająco spokojnie, a nawet nieco sennie, jakby wszyscy myśleli już o nadchodzącym *closing*

dinner. Leje się szampan, następują okrągłe toasty i gratulacje – jedni nieszczerze żałują, że sprzedali, drudzy też nie do końca szczerze cieszą się, że kupili, wiedząc, jaki ogrom pracy ich czeka i jaka na nich spada odpowiedzialność.

Myślę o tym wszystkim, zając się czekoladowe lody na deser po oficjalnej kolacji, zastanawiając się nad tym, że trzeba się powoli odmeldowywać, żeby się wyspać, bo jutro czeka mnie ważny dzień. Ten racjonalny plan zaczyna się sypać w gruzy, gdy podchodzi M, dotychczasowy prezes i drobny akcjonariusz banku, i konfidencjonalnie szepcze mi do ucha: – Piotrze, a teraz zapraszamy cię na *after party* w mieście.

Rozsądek mówi mi bardzo wyraźnie: „Uciekaj! Uciekaj!”, ale podszept ciekawości zwycięża. Na dole wsiadam do wielkiego, czarnego SUV-a, w którym na cały regulator śpiewa Bianca, lokalna gwiazda R&B. Ruszam w kijowską noc z chłopakami, którzy właśnie stali się dolarowymi milionerami. To będą niezapomniane, ale i niełatwe do wspomnienia godziny...

„Dobrze, że zdążyłem zmienić koszulę” – przebiega mi przez głowę, gdy punkt dziewiąta rano wkraczam do biura. W biurach zarządu panuje dziwna cisza. „No tak, poprzedni zarząd zrezygnował i teraz czas na mnie” – konstatuje w myślach. Na biurku leży gruby bryk mojego *Transition planu*, ale jego widok jakoś mnie dziś nie uspokaja. Otwieram go na zaznaczonej stronie, aby przypomnieć sobie plan działań na dziś. „Zaraz zwołam to spotkanie, tylko MUSZĘ napić się wody” – myślę. Sekretarka przyjmuje polecenie, ja zaczynam niezbornie korygować tezy mojego wystąpienia przed pracownikami – idzie słabo, bo łeb mi po prostu pęka, a suchość w ustach osiąga pustynny wymiar. Nie ufając już dłużej telefonowi, wychodzę do sekretariatu, by możliwie najspokojniejszym głosem przypomnieć o mojej wodzie. Chyba nie było wystarczająco spokojnie, bo rejestruję

błysk paniki w oczach Aliny, mojej asystentki. Krążę jak ranny tygrys po swoim gabinecie i zaczynam myśleć, czy brak wody to nie jakiś przejaw sabotażu.

Muszę to niezwłocznie wyjaśnić, więc znowu stoję przed Aliną i pytam:

– Co z moją wodą?

Dziewczynie zaczynają się trząść ręce i drżącym głosem odpowiada: – Panie prezesie, ale przecież nie dał mi pan pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? – Wpadam w osłupienie. – Przecież w banku zawsze, odkąd jestem, była woda, kawa i herbata dla pracowników.

– No tak – ripostuje Alina. – Ale poprzedni prezes dawał pieniądze na te zakupy.

Drżącymi z odwodnienia rękami wręczam jej 100 hrywien i wzywam dyrektora administracyjnego. Mam złe przecucia, które S potwierdza. W banku prywatne pieniądze akcjonariuszy mieszały się z bankowymi i drobne zakupy finansowano gotówką bezpośrednio od nich. Stukam nerwowo palcami w mój bryk za 200 tys. euro i zaczynam pod nosem przeklinać tych gamoniowatych konsultantów.

Zajmie mi tydzień, by stworzyć procedurę zakupów, zrobić przetarg na dostawcę wody.

„Ile jeszcze czeka mnie takich odkryć, zanim zrozumiem ten bank?” – myślę, zmierzając na pierwsze spotkanie z pracownikami. Opowiadam z przekonaniem o „dobrej zmianie”, która ich czeka i widzę, że przekaz do nich dociera. Niestety w kolejnych dniach zgrabne tezy wystąpienia (te z bryka) i żarliwe obietnice przykrywa warstwa korytarzowych szeptów: – Nowy właściciel dużo obiecuje, ale na początek zabrali nam wodę i kawę.

Napoje wracają do stołówki po tygodniu, ale nigdy nie ma drugiej szansy zrobienia pierwszego wrażenia.

Park art

W Kijowie (i w innych miastach Ukrainy) parkowanie to sztuka sama w sobie, proces ten ma niewiele wspólnego z tym, czego byłem nauczony w Polsce. Obowiązuje zupełnie inny paradygmat: nie parkuje się na jakichś wyznaczonych miejscach, w jasno zdefiniowany sposób. Parkuje się tam, gdzie potrzeba, w sposób, jaki jest dostępny z uwagi na ukształtowanie terenu i zachowanie innych uczestników tej zabawy. Auto na całej szerokości chodnika to oczywistość, na trawniku to banał po prostu, we Lwowie widziałem zaparkowane jedno za drugim wzdłuż linii rozdzielającej dwa pasy ruchu. Kreatywność doceniam, widząc sedana zaparkowanego w parku między dwoma drzewami lub wpasowanego precyzyjnie między dwa betonowe klomby SUV-a na jednym z centralnych placów.

Parkingowi („parkowszczyki”) sprywatyzowali praktycznie co bardziej smakowite place, chodniki i uliczne zatoki w centrum miasta. Teoretycznie wyglądają jak służby miejskie, ale to musi być prywatny biznes: nie ma żadnych biletów parkingowych, pokwitowań – po prostu przyjmują gotówkę, wskazują ci miejsce i już. Serwis jest za to na wysokim poziomie: pomogą precyzyjnie zaparkować, pilotując i pokazując odległości od

krawężnika, innych aut itd. Pomogą również wyjechać, włącznie z zatrzymaniem ruchu na ulicy, kiedy potrzeba spokojnie cofnąć z zatoki. Dostępność miejsca na zarządzanym przez danego parkingowego rejonie jest wprost proporcjonalna do wielkości i klasy auta, jakie chce zaparkować – jest tak zapewne z uwagi na oczekiwaną wysokość napiwków.

Pladze rażąco nieprzepisowo zaparkowanych aut sprzyja to, że w większości tych z wyższej półki siedzą ich kierowcy, czekający na załatwiającego jakąś sprawę właściciela lub mocodawcę. W razie niespodziewanego pojawienia się policji, włączają szybko silnik i po prostu odjeżdżają. Po zrobieniu koła po okolicznych ulicach i upewnieniu się, że policja zniknęła, parkują spokojnie na poprzednim miejscu tak samo nieprzepisowo. W efekcie na trzypasmowej ulicy przed ekskluzywnym domem towarowym „Mandarin Plaza” dwa pasy są zawsze zajęte przez czekające, zazwyczaj czarne, wielkie SUV-y. Co ciekawe, nikogo to nie dziwi, nie denerwuje, nie ma trąbienia, a i nawet policja omija to miejsce. Wiadomo – szansa, że to żona jakiegoś ważnego polityka robi tu zakupy, jest niemała.

Zawodowi kierowcy prowadzą chyba pomiędzy sobą jakąś rywalizację w dyscyplinie „kto podwiezie swojego pasażera możliwie jak najbliżej celu podróży”. Nie praktykuje się wysadzania 100 czy nawet 50 m od obiektu – na przykład od drzwi restauracji. Jeśli już naprawdę nie da się wjechać do środka, to absolutnym minimum jest podjechanie pod same drzwi, najdalej metr od nich.

Od czasu do czasu lokalne władze robią jednak akcję oczyszczania miasta z nieprzepisowo zaparkowanych aut. Trudno zrozumieć, czym są powodowane te zrywy. Może to deficyt w kasie miejskiej, a może skarga przejeżdżającego swoją kolumną prezydenta. Tak czy owak, w czasie akcji na ulice Kijowa wyjeżdżają

setki holowników, które całkiem sprawnie usuwają niezliczone auta z dróg i chodników, przewożąc je na podmiejskie parkingi. Stamtąd należy je odebrać, a właściwie wykupić, a cena jest dość słona. Akcja zazwyczaj trwa kilka dni, w najlepszym wypadku – kilka tygodni. Pewnie do czasu aż nieopatrzenie odholują auto jakiegoś prawdziwego VIP-a. Potem wszystko zamiera i wraca do normy, jeśli można to nazwać normą.

„Od wczoraj trwa ewidentnie akcja” – myślę sobie, patrząc na mijającą mnie kolumnę holowników. Jest rzeński poranek, czekam na Wowę, aby ruszyć do pracy. Stoję na ulicy przed swoim apartamentowcem, spoglądając w niebo i zastanawiając się nad planem dnia.

Z tych porannych myśli wrywa mnie pisk hamulców, gdy czarny mercedes S-600 wjeżdża na chodnik, prawie przejeżdżając mi po butach. Uskakuję niezgrabnie, gdy auto parkuje skosem na całej szerokości chodnika, wprost przed drzwiami jakiegoś biura nieruchomości. Tutaj w Kijowie takim autem może jeździć wysoki rangą urzędnik magistratu, może to być zamożniejszy przedsiębiorca lub też zwykły bandyta. Wygląd osobnika, który wysiada, nie daje mi jednoznacznej odpowiedzi, z kim mam do czynienia. Przysadzisty, z podgolonym karkiem, ale za to w eleganckiej koszuli i modnych džinsach. Stawiam na przedsiębiorcę.

Patrzę na jego katastrofalnie zaparkowane auto i moja empatia zwycięża.

– Wie pan co, dziś szaleją w mieście holowniki. Radzę przeparkować. O, tam jest miejsce – mówię, a gdy wypowiadam ostatnie słowo, już zaczynam żałować. Facet obdarza mnie spojrzeniem, po którym moja krew tężeje do konsystencji żelbetonu. „Jednak magistrat lub bandyterka” – przebiega mi przez myśl, gdy gość znika w budynku.

Kręcę w milczeniu głową, obiecując już nigdy więcej nie być nadgorliwym. Nagle zza zakrętu wyłania się holownik, który po chwili parkuje jakieś 50 m ode mnie. Z auta wysiada dwóch pracowników w żółtych kamizelkach, którzy spokojnie zakładają robocze rękawice, rozglądając się wokół.

Ruszam do nich sprintem, po drodze szukając jakiegoś drobnego banknotu. Niestety mam tylko 200 hrywien (ok. 40 dolarów). „A niech to! Jak się bawić, to się bawić!” – myślę, uśmiechając się do siebie. Wręczam banknot kompletnie zaskoczonemu kierowcy holownika ze słowami:

– A moglibyście zacząć od tego? – Mściwie wskazuję czarnego S-600.